

Y 9012 C
Nr indeksu 368563
PL ISSN 0475-6347
USA - 1.85 \$
United Kingdom - 1.50 £
Italy - 2.260 L
Germany - 4 DM
France - 10 F
Canada - 2.10 \$ CAN
Belgium - 62 BF
Austria - 21 Sch

Ukazuje się od 16 maja 1954

NR 5-6 (2361-2362) 30 I - 6 II 2000
CENA 1,50 Zł

Pano rama



W poprzednim numerze „Panoramy” rozpoczęliśmy druk reportaży z podróży po świecie państwa Alicji i Grzegorza Kołodko, których udało nam się namówić do podzielenia się swoimi wrażeniami z czytelnikami naszego pisma.

Dzisiaj proponujemy drugą część reportaży z wędrówek po Australii, w następnych numerach przedstawimy wrażenia z wyprawy do Indonezji i na wyspy koralowe.

Wraz z autorami życzymy milej lektury.

Magia buszu (2)



Zakropkowana przeszłość

Zapoznanie się z wierzeniami i tradycją Aborygenów pozwala lepiej zrozumieć ich sztukę. Dzięki niej, ci nieufni, zamknięci w rodzinnych wspólnotach ludzie zostali ponownie „odkryci”. Na Jamesie Cook’u, uznawanym za odkrywcę Australii, zrobili wrażenie, że „chcieli, abyśmy sobie odeszli”, zaś na holenderskich kupcach, którzy jako pierwsi postanowili nawiązać z nimi kontakty handlowe - prymitywnych istot, gdyż „niczego nie potrzebowali, ani niczego nie oferowali”. Zainteresowanie przybyszów wzbudzał tylko bumerang, który był używany zarówno jako broń do polowań, jak i przedmiot do zabawy. Malunki jaskiniowe nie wydawały się jeszcze interesujące, choć te najstarsze liczą ponad 3 tysiące lat.

Renesans sztuki aborygeńskiej nastąpił dopiero na początku lat 70. Nieopodal bardzo wówczas małego i sennego miasteczka Alice Springs, we wspólnocie Papunya, poproszone miejscowe dzieci, aby pomalowały mury na nowo wybudowanej szkole. Do dzieci dołączyli się dorośli i stworzono obraz, którego symbolika i środki wyrazu nawiązywała do sztuki malowania na skałach i ciablach, ale z użyciem innego medium. Po pierwszym murze, pomalowano następne, a potem miejscowi artyści zaczęli adaptować kolejne nowoczesne techniki malarskie i ich twórczość zaczęła wzbudzać uznanie.

Dzisiaj sztuka aborygeńska jest doskonale sprzedającym się towarem. Nie ma chyba miejscowości, w której nie byłoby choćby jednej takiej galerii z oryginalnymi praca-

mi... lub podróbkami. Wprawdzie powstał cały system organizacji typu spółdzielnie, towarzystwa czy sklepy patronackie, które miały chronić prawa autorskie poszczególnych plemion, ale obrazy i inne wyroby bez odpowiedniego certyfikatu zaświadczającego o oryginalnym pochodzeniu są znacznie tańsze. Obrazy, niezależnie na jakim medium powstały (my mamy na koszulkach) opowiadają tylko jedną historię - o wędrówce przodków po Ziemi w Dreamtime - czasie aktu tworzenia. Są jakby mapami krajobrazu i jego żywych elementów; miejsc, gdzie przodkowie zatrzymywali się zostawiając ślady pobytu. Dlatego symbolika przedstawień, tak dla nas tajemniczych jest - podobno - w pełni tylko zrozumiała dla artysty i jego rodziny i tylko on wie, co tak naprawdę jest ukryte pod zakropkowaną powierzchnią. Pod tym względem nie różnią się od naszych malarzy - abstrakcjonistów.

Ostatnim „odkryciem” dziedzictwa Aborygenów jest dijeridu (didżiridu), instrument muzyczny, który w oryginale był używany podczas ceremonii plemiennych. Jest to rura (może być różnej wielkości) zrobiona z gałęzi eukaliptusa wydrążonych przez termity. Trudno na niej byłoby wydymać „Szła dziewczeczka do laseczka...”, ale znakomicie współgra z kompozycjami muzyki new age. W Alice Springs, które jest jednym z centrów sztuki aborygeńskiej, dijeridu jest najlepiej sprzedającym się obecnie towarem. Nas również kusił zakup takiej rury, ale... jak z tym podróżować? Nabyliśmy za to płytę kompaktową z muzyką multiinstrumentalisty, Andrew Langenforda. Znakomita!

Samo miasteczko Alice Springs wydało nam się ciekawe i bardzo charakterystyczne dla australijskiego outback’u. Zostało zbudowane jako stacja obsługująca linię telegrafu, a z czasem doprowadzono tu również kolej. Przez dziesiątki lat, jeszcze po II wojnie światowej, pozostawało senną osadą położoną gdzieś tam hen na pustyni, daleko od cywilizacji. Dzisiaj Alice Springs liczy ok. 24 tysiące mieszkańców i jest bardzo nowoczesnym, rozwijającym się miastem - z dużą ilością sklepów, galerii, restauracji i lotniskiem. Są tu liczne „Internet cafe” - bardzo popularne w całym kraju bary, gdzie kawę pije się przy komputerze podłączonym do Internetu. Spacerując po centralnym pasażu trudno uwierzyć, że już kilka ulic dalej zaczyna się busz i ziemie należące do Aborygenów. Można ich tu spotkać wielu, ale o ile turyści siedzą pod parasolami w ogródkach restauracji, to oni - pod drzewami, najchętniej bezpośrednio na ziemi, w małych grupach rodzinnych.

Interesującym miejscem jest stary cmentarz. Pochowany tutaj został Robert Namatjira, najbardziej chyba znany malarz aborygeński. Jego obrazy można obejrzeć w miejscowym muzeum. Namatjira malował akwarele. Z tą techniką zapoznał go in-

ny malarz w latach 30. Początkowo obrazy były traktowane jako malownicze widoczki buszu, z czasem jednak dostrzeżono w nich symbolikę odnoszącą się do Dreamtime oraz szczególnie dobór tematu. Namatjira był pierwszym Aborygenem, który otrzymał obywatelstwo australijskie w 1957 roku (do tego czasu rdzenna ludność nie posiadała praw obywatelskich!). Uznanie i sława nie zmieniły jego sposobu życia. Zarobione pieniądze oddawał swoim ludziom, zgodnie z plemiennym prawem. Dwa razy siedział w więzieniu za dostarczanie im alkoholu, bo był taki zakaz. Ale mimo wszystko, to właśnie dzięki niemu zaczęło zmieniać się bardzo negatywne wyobrażenie o Aborygenach wśród „białej elity”.

Urok opali

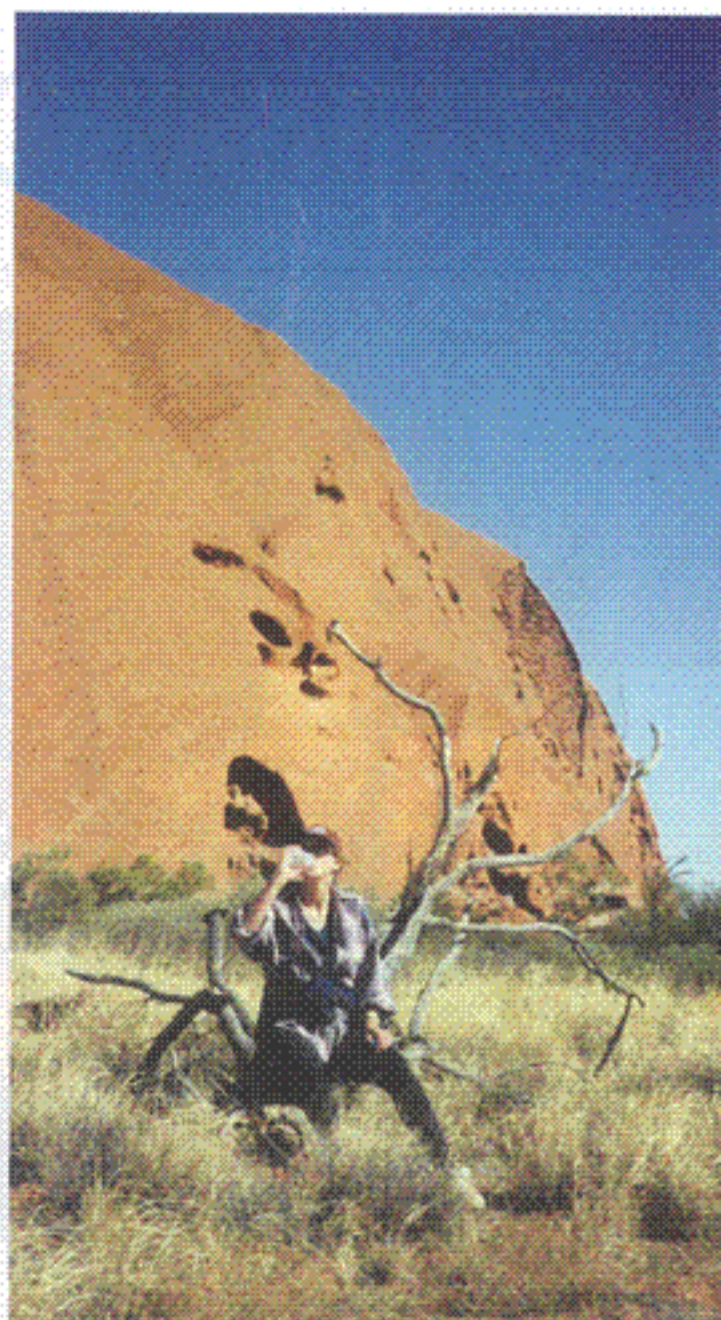
Australijski outback jest fascynujący nie tylko ze względu na nieskażoną przyrodę, niespotykany gdzie indziej krajobraz i - wydawałoby się - bezkres. Fascynuje również dlatego, że jest to jedno z ostatnich miejsc na ziemi, gdzie nadal trwa kolonizacja, podobna do tej, jaką przeżyła Ameryka ponad 100 lat temu, choć z pewnymi różnicami. Aborygenom nie można jak Indianom zabrać ziemi, a teraz się ją nawet oddaje, utrzymuje się granice sanitarne, aby chronić lokalną faunę i florę, która nie wytrzymała konkurencji z owcami, królikami i insektami, istnieją samoloty i Internet. Ale są miejsca, które przyciągają jeszcze tych, którzy nie mają nic, a marzą o bogactwie. I nie szukają go na światowych giełdach, ale jak dawni poszukiwacze złota z Kalifornii czy Alaski, chcą je znaleźć w ziemi. Jednym z takich miejsc jest Coober Pedy, czyli po aborygeńsku „dziury białego człowieka”. Tu szuka się opali.

Nazwa nadana przez Aborygenów doskonale opisuje okolicę, która w promieniu kilkunastu kilometrów pokryta jest kopcami ziemi, co oznacza, że obok na pewno jest

wydrążony w skale szyb do podziemnej kopalni. Informują również o tym znaki, ostrzegające przed spacerami po takim terenie. Samo miasteczko nie wygląda zbyt przyjaźnie. Deszcz jest rzadkością, więc nawet zimą budynki i chodniki pokrywa kurz; po kątach zalega mnóstwo zardzewiałych urządzeń, a ludzie są tu... niecierpliwi, arogancy i dość agresywni - posterunek policji dwa razy był wysadzany w powietrze, kilka razy restauracje, a ostatnio samochody stróżów prawa. I są to tylko bardziej spektakularne zdarzenia, z licznych tego typu, w tym prawdziwym „miasteczku pogranicza”. Latem jest tu bardzo gorąco. W południe temperatura osiąga nawet 50 st. C (szczęśliwie byliśmy tu w lipcu, czyli w środku zimy). Chroniąc się przed rozgrzanym powietrzem, już pierwsi poszukiwacze odkryli, że najskuteczniej jest przebywać w szybach kopalni, które przypominają rozgałęzione jaskinie. Ten pomysł tak się przyjął, że z czasem nie tylko całe „apartamenty” tak były adoptowane, ale również kaplice, sklepy, a obecnie również hotele. My też spędziliśmy taką upalną noc w środku zimy pod ziemią.

Jednak Coober Pedy to przede wszystkim opale. Jest ich tu olbrzymi wybór - w oprawie lub bez, oszlifowanych lub surowych. Nie sposób wyjechać stąd bez takiego kamienia. Skróconą lekcję rozróżniania opali dał nam jeden z poszukiwaczy - Grek z pochodzenia, który już porzucił kopanie na rzecz handlu kamieniami.

Wartość opali zależy od koloru i przejrzystości. Czarne i krystaliczne należą do najcenniejszych - im wyraźniejszy posiadają wzór, tym lepiej. Im bardziej mogą być oszlifowane w kształt wysokiej półkuli, tym są wartościowsze. Najpiękniejsze opale mają wartość diamentów. Są rzeczywiście piękne i ich jedną wadą jest to, że nie są... diamentami.



Trudno jednak oprzeć się ich urokowi. Promienie słoneczne potrafią wydobyć z nich całą gamę barw i refleksów, które znikają w ocienionym otoczeniu. Nieciekawym, nudnym kawałkiem kolorowej skały „ożywa” w momencie, gdy pada na niego światło i zmienia się wraz ze zmianą jego źródła i natężenia. Idealna pamiątka z buszu, którego jest przecież częścią.

Tekst ALICJA KOŁODKO
Zdjęcia GRZEGORZ KOŁODKO, ARC

